Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ŁOWIEC POLSKI



Wieczorem na Krznie. Fot. Stanisław Bebenkowski.

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

Nr. 30 (685) 23 LIPCA 1932 R.

MYŚLIWSKI KONKURS FOTOGRAFICZNY

Dążąc do udoskonalenia strony ilustracyjnej pisma, redakcja Łowca Polskiego dorocznym zwyczajem ogłasza myśliwski konkurs fotograficzny.

P. P. Myśliwi zechcą nadesłać nam ciekawsze i piękniejsze zdjęcia łowieckie, które mogłyby się nadać do reprodukcji w naszem piśmie.

Na zdjęciach podać należy: krótki tytuł zdjęcia (nazwę miejscowości i powiatu) oraz godło autora fotografji.

Nazwisko i adres, wypisane wyraźnie, pomieścić należy w oddzielnej, zaklejonej kopercie, opatrzonej tem samem godłem, co i nadesłane fotografje. Przedmiotem zdjęć mogą być sceny z polowań, zwierzyna żywa i ubita, piękne psy myśliwskie i trofea łowieckie.

Nagrodę I-szą stanowić będzie suma zł. 100, II-gą zł. 50. III-cią i IV-tą nagrodę roczna prenumerata „Łowca Polskiego" i V-tą nagrodę półroczna prenumerata „Łowca Polskiego".

Jury składa się z członków KOMITETU REDAKCYJNEGO.

Termin nadsyłania zdjęć upływa z dniem 15 października r. b.

UWAGA: Warunkiem otrzymania dobrej kliszy drukarskiej, a następnie wyraźnej i przejrzystej reprodukcji — jest ostra fotografja, właściwie eksponowana i odbita na papierze bromosrebrnym. Najbardziej pożądany jest kolor odbitki czarny; koloru sepjowego mogą być tylko odbitki bardzo ostre i wyraźne.

REDAKCJA „ŁOWCA POLSKIEGO".

OD ADMINISTRACJI.

Pozwalamy sobie przypomnieć, że czas już odnowić prenumeratę na II półrocze lub III kwartał.

Zawiadamiamy jednocześuie, że numery reklamowane (z powodu nieotrzymania) wysyłać będziemy przy ekspedycji najbliższego numeru po otrzymaniu reklamacji.



Powrót z błot poleskich. Fot. J. Berbecka.

TROCHĘ REPLIKI.

Z okazji szkicu mego „O pięknej literaturze łowieckiej w Polsce" p. Władysław Zabiełło w Nr. 24 „Łowca P." zajął się rodzajem literackim, który nazwaćby można „krytyką krytyki". Wszelka krytyka istnieje po to, by dać syntetyczną i w miarę sił ludzkich — objektywną ocenę czy to danego dzieła, czy to całokształtu twórczości pewnej osoby. Pomimo jednak największego i najszczerszego objektywizmu, trudno jest oderwać szkic krytyczny od osoby krytyka, boć przecie krytyk jest też człowiekiem z czysto ludzkiekiemi upodobaniami i przywarami, a nie bezdusznym „objektywem" aparatu fotograficznego. W tem zrozumieniu każda krytyka będzie indywidualną, subjektywną, i w tem ponoć tkwi jej twórczy pierwiastek... Mogę mieć o pewnem dziele lub o pewnym twórcy jedno przekonanie, może mylne... Panowie X, Y i Z mogą mieć w tej samej materji zdania wręcz odmienne, może słuszne... Jeżeli swe odmienne zdania wypowiedzą i uzasadnią, będzie to właśnie „krytyka krytyki" — zjawisko b. zrozumiałe, b. pożyteczne i b. płodne, bowiem, jak wiadomo „du choc des opinions jaillit la vérité".

Mam jakąś idjosynkrazję do t. zw. replik i dlatego ze szczególną niechęcią biorę pióro do ręki, by skreślić słów kilka z powodu uwag p. Zabiełły. Czynię to jednak dlatego, że, zdaniem mojem, jego „krytyka krytyki" nie jest wyrażeniem uzasadnionego „zdania odmiennego" o pewnych pisarzach lub pewnych dziełach (co byłoby i esencjonalne i ciekawe), lecz obraca się prawie wyłącznie około raczej bądź co bądź formalnej kwestji dokonania przeze mnie tej, a nie innej „klasyfikacji" pisarzy myśliwskich — i to klasyfikacji, pojętej w sensie tego, a nie innego szyku nazwisk...

Zanim przejdę do właściwej repliki, pośpieszę z głębi serca podziękować Szanownemu Oponentowi za Jego kurtuazyjny wstęp, dotyczący mej publicystyki fachowo-łowieckiej. Chcę jednak sprostować zasadniczy błąd, że jakkolwiek po za literaturą czysto-łowiecką, popełniam również co czas pewien „grzechy" ogólno-literackie i jakkolwiek figuruję nawet na liście członków rzeczywistych Zw. literatów w Wilnie, to jednak za zawodowego literata siebie nie uważam. Zwłaszcza nie sięgam po tytuł „zawodowego" krytyka literackiego. Oświadczam to z naciskiem i z tej racji, że p. Zabiełło, zastrzegając się, że nie pragnie mnie klasyfikować jako krytyka, czyni to jednak — zarówno w przejrzystej aluzji o prawdzie biblijnej, jak i w ustępie porównawczym o pisarzach zawodowych i niezawodowych. Albowiem — na tę okoliczność pragnąłbym zwrócić szczególną uwagę: — ani „zawodowość", ani „niezawodowość" nie stanowią probierza wartości twórcy i jego dzieła. Probierzem tym będą zgoła inne walory, które zresztą są p. Zabielle świetnie znane, co wynika jasno z jego cennych uwag. To, co powiedziałem, odnosi się nie

tylko do dzieła krytykowanego, lecz i do dzieła krytykującego, bowiem to ostatnie może i powinno mieć również pierwiastki twórcze.

A teraz w kwestji samej repliki — trzy uwagi.

I. Po za Weyssenhoffem, Ejsmondem i Korsakiem pozostałych autorów „I klasy" wyliczyłem alfabetycznie, co jest łatwe do sprawdzenia i do czego się przyznaję bez wstydu. Stało się to powodem, iż bezsprzecznie wielki, choć „niezawodowy" poeta-myśliwy, Stanisław Zaborowski, znalazł się na ostatniem miejscu, chociaż wątpliwości nie ulega, że należy mu się zgoła inne miejsce — może nawet wśród „niezawodowców" — przodujące. Nie uszło to odrazu czujnej uwagi Szanownego Redaktora „Łowca P.", a oburzyło p. Zabiełłę. Jednak przyzna mi chyba Szanowny Oponent, że ogólnie przyjęty we wszystkich dziedzinach stosunków ludzkich szyk abecadłowy, gdy chodzi o wyliczenie nazwisk, jest zwłaszcza na miejscu tam, gdzie się porusza temat „delikatny" i „obejmujący pisarzy żyjących" (słowa p. Zabiełły). Uważam to, co powiedziałem za usprawiedliwienie zupełnie dostateczne i... bez cudzysłowa.

II. Pana Zabiełłę rażą epitety, któremi określiłem niektórych pisarzy. Co do epitetów wogóle, mniemam, iż mają one w literaturze pełne prawo obywatelstwa od czasów Homera, jako że są kwintesencją przydługich komentarzy, na które nie zawsze pozwalają i czas autora i cierpliwość czytelnika. Co do tego nie może być dwóch zdań. Pisarz, rozumiejący to, co pisze, i odpowiedzialny za to, co pisze, nie rzuca słów na wiatr i nie używa epitetów inaczej — niż, jako skondensowanych konkluzyj pewnego rozumowania. Samo rozumowanie może być jednak (dla treściwości) pominięte, i w tem tkwi literacka wartość epitetu. Z takiego pominięcia nie wolno jednak sądzić, że rozumowania wogóle nie było. Rozumowanie może być błędem, a eo ipso — epitet nietrafnym. Należy to jednak udowodnić, nie zaś twierdzić apodyktycznie, że epitety są „niczem nie uzasadnione"... Gorzej, że epitety moje (chyba tylko negatywne?) nazwano „soczystemi". Przeciwko temu protestuję, gdyż przymiotnik „soczysty" jest definicją zbyt elastyczną. Mówimy o soczystym owocu, co jest pochwałą; mówimy też jednak o soczystych połajankach rosyjskich, co jest synonimem ordynarności. Skala ogromna! Sądzę, że Szanowny Oponent nie imputuje mi tego drugiego rodzaju soczystości. Jednak lepiejby było unikać w rzeczowej polemice definicyj rozciągliwych i wieloznacznych.

III. Ostatnia uwaga będzie (nie z mojej winy!) natury nieco osobistej. Szanowny Oponent zarzuca mi „młodzieńcze" nieopanowanie. Znowuż spotykamy się z definicją elastyczną, choć na pozór wszyscy wiemy, kiedy się kończy młodość, a zaczyna „wiek klęski". Miałem cioteczną 90-letnią babkę, która w chwilach gniewu mówiła do swej 70-letniej córki, starej panny: — „ty, smarkata!"... W opowieści Gogola p. t. „Szynel" 50-letni szef monituje 60-letniego podwładnego słowami: „młody człowieku!"... Zarzut młodzieńczości jest nie tylko elastyczny, lecz po dojściu do pewnego wieku staje się komplementem. Dziwi więc mnie tylko, dlaczego Szanowny Oponent, z którym mamy w ukochanym przez myśliwców powiecie postawskim wspólnych miłych znajomych (a „znajomi naszych znajomych są naszymi znajomymi"...), nie zasięgnął bardziej ścisłych danych metrykalnych o mojej osobie przed zrobieniem mi komplementu młodzieńczości?

* * *

I jeszcze ostatnia uwaga—nadprogramowa i ogólna

Mój szkic krytyczny, który wywołał kontrkrytykę p. Zabiełły był referatem, wygłoszonym przed gronem ludzi kulturalnego Wilna, co wyraźnie zaznaczyłem w odsyłaczu od tytułu. Myśliwi stanowili wśród słuchaczy odsetek nieduży. Chodziło mi więc nie tyle o ścisłą „fachowość" łowiecką, ile — o zadzierzgnięcie więzów ideowych myślistwa z — niemyślistwem. Tym więzom poświęciłem dobrą połowę odczytu. Ten charakter referatu sprawił, że — być może — na łamach fachowo-łowieckiego tygodnika, pod surowem okiem myśliwych z krwi i kości — ton odczytu i jego ujęcie odchyliły się nieco od tonu i linji ogólnej „Łowca Polskiego". Zdawałem sobie z tego jasno sprawę, gdy posyłałem rękopis do użytku Szanownej Redakcji. Sądziłem jednak, że może czytelników zainteresuje sprawozdanie, co i jak się robi dla propagandy łowieckiej w Wilnie.

To ostatnie usprawiedliwienie składam w ręce ogółu Czytelników-myśliwych, bowiem p. Władysław Zabiełło wyraził na zakończenie swych uwag przekonanie, że wyraża pogląd Ich większości.

* * *

Skromne studjum moje wywołało jeszcze uwagi p. Jerzego Dylewskiego („Łowiec P." Nr. 28). Nie chcę Mu replikować dla wielu racyj. Primo dlatego, że w przeciwieństwie do p. Zabiełły, „nie występuje ani w imieniu większości, ani mniejszości myśliwych, ale tylko w swojem własnem"... Secundo — bo oponuje nie przeciw porządkowi nazwisk wyliczonych przeze mnie pisarzy myśliwskich, lecz sprzeciwia się merytorycznie mojej klasyfikacji tych pisarzy, uzasadniając rzeczowo swe zdanie odrębne, — co jest zgodne z wypowiedzianą na wstępie niniejszego maksymą, iż — „z konfliktu zdań wytryska prawda"... Tertio — bo unika skrupulatnie wszelkich uwag o odcieniu osobistym.

Przeto niniejsze słowa moje nie będą „repliką". Chcę wprost podkreślić ciekawą, oryginalną, śmiałą i wnikliwą koncepcję p. Dylewskiego podziału pisarzy myśliwskich na „przedwojennych" i „powojennych". I nie w znaczeniu chronologji, lecz w sensie mentalności i kultury autorów... Święta prawda! Pod taką klasyfikacją literatury myśliwskiej i jej twórców podpisuję się obiema rękami! Najwyżej odczuwam zazdrość autorską, że nie mnie pomysł takiej właśnie hierarchji pisarskiej przyszedł do głowy. Jeno nie podzielam pesymizmu Sz. Oponenta! Bo oto tu u nas— w „północno-wschodniem" Wilnie obserwuję rzeczy ciekawe i pocieszające. Widzę, jak uczniowie szóstych, siódmych i ósmych klas gimnazjalnych szczerze i ochoczo garną się do ideowego łowiectwa. Czytuję „miesięcznik krajoznawczo-regjonalno-łowiecki", wydawany przez abiturjentów gimnazjum w zapadłem

Głębokiem pow. dziśnieńskiego. Jako naczelny redaktor podpisany jest p. Józef Drozdowicz, maturzysta tego gimnazjum... Czytuję nadesłane mi do oceny ładne, bezpretensjonalne, tchnące młodzieńczą świeżością nowelki myśliwskie ucznia 6-ej klasy gimnazjum w Wilnie. Optymizm ten nie zaślepia mnie jednak. Bo obserwuję jednocześnie rozpolitykowanych lub rozsportowanych akademików, którzy, tworząc dziesiątki kół, związków i konwentów, nie pomyśleli o utworzeniu w mieście uniwersyteckiem jednego choćby związku łowieckiego... A niejeden z tych studentów-myśliwych poluje bez karty łowieckiej i jeszcze „szczyci się" tem cynicznie... Lecz za to wśród młodzieży gimnazjalnej widzę zalążek lepszego jutra. I wierzę, że wyjdą z niej nowi, bardzo „powojenni", lecz po przedwojennemu ideowi, kulturalni, sumienni pisarze myśliwscy. I wierzę, że oni nas godnie zastąpią, gdy los nam zejść każe z areny łowieckiej. Trzeba ich tylko zachęcać i trzeba im pomagać.

MICHAŁ K. PAWLIKOWSKI.



TEN PIERWSZY.

I.

Wiosną 1917 r. mieszkałem w Moskwie. Były to czasy pierwszej rosyjskiej rewolucji, czasy wielkich, ale pogrzebanych nadziei, czasy bohaterskich czynów i najpodlejszej dezercji, czasy pełne gorączkowego, wyczerpującego życia, wymagające stalowych nerwów i spokoju.

Nic też dziwnego, że z prawdziwą radością odczytywałem, po raz dziesiąty może, otrzymany pewnego dnia od mojego przyjaciela list, w którym zapraszał mnie na polowanie do swoich kuzynów na wieś, co dawało mi możność oderwania się na pewien czas od znienawidzonego życia miejskiego. Miejscowość, dokąd miałem jechać, ukryta wśród ogromnych lasów, znajdowała się o dwa dni drogi od Moskwy. Mój przyjaciel pisał między innemi, że toki lada dzień się już zaczną, cietrzewi moc, budki gotowe — tylko siadać i strzelać.

O łowach w tamtejszych stronach i swoich triumfach opowiadał mi już często przedtem niebywałe cuda.

Teraz, po tylu latach, spędzonych z fuzją w ręku wśród niezmierzonych przestrzeni lasów wschodniej Rosji, słuchałbym tych opowieści, jeśli nie z krytycznym, to pobłażliwym uśmiechem, wówczas jednak, będąc w kunszcie łowieckim zupełnym niemal nowicjuszem, wchłaniałem je w siebie całą duszą i patrzyłem na mego przyjaciela z podziwem i szacunkiem, marząc jedynie tylko o tem, abym i ja mógł kiedy tych roskoszy doświadczyć.

I oto nagle moje marzenia miały się urzeczywistnić. Grzechem byłoby z podobnej okazji nie skorzystać. Natychmiast wysłałem dziękczynny list, a sam zacząłem gotować się do wyjazdu. Zanim jednak zdobyłem broń i amunicję, oraz załatwiłem swoje bieżące sprawy, upłynęło sporo czasu tak, że dopiero po upływie dwóch tygodni od dnia wysłania listu, znalazłem się pewnego wieczoru na dworcu kolejowym. Przyjaciela o swym wyjeździe uprzedziłem depeszą.

Jestem człowiekiem skromnym, nie będę zatem opisywał szczegółów tej bohaterskiej walki, jaką stoczyłem, aby dostać się na stopnie wagonu, ani tej ślimaczej jazdy pociągiem, podczas której awansowałem kolejno ze stopni wagonu na platformę, skąd znowu do pewnej dyskretnej ubikacji, gdzie w pozycji stojącej spędziłem kilka godzin, aby wreszcie, już przed końcem podróży, osiągnąć szczyt wygody i komfortu i znaleźć się przy oknie w kurytarzu wagonu.

Ostatecznie, około godziny 7-ej rano, zwolna zbliżaliśmy się do stacji, gdzie miałem wysiąść. Była to stacja końcowa i dalej pociągi już nie szły. Mój przyjaciel, który na szczęście otrzymał wysłaną depeszę, czekał na mnie na stacji.

Mając przed sobą przeszło 60 wiorst drogi, nie traciliśmy czasu i natychmiast, przeprawiwszy się na promie przez imponującą ogromem swych rozlanych wód Wołgę, siedliśmy na oczekujący nas wóz i, szerokim, wysadzanym wspaniałemi, wiekowemi drzewami traktem, ruszyliśmy przed siebie.

Pominę szczegóły tej długiej i męczącej drogi. Wspomnę tylko, że dla przebycia ostatnich 20 wiorst, wyłącznie leśnemi drogami, musieliśmy nasz wóz zmienić na sanie. Nie mogę powiedzieć, aby były one idealnym środkiem lokomocji, mam jednak wrażenie, że wozem wogóle nie moglibyśmy dojechać. A tak, częściowo jadąc, częściowo idąc lub płynąc, dość już późnym wieczorem, wytrzęsieni, wygłodniali i przemoczeni doszczętnie, gdyż o zmierzchu naleciała jakaś chmurka, racząc nas krótkim, ale rzęsistym deszczem, dotarliśmy do miejsca przeznaczenia.

Boże! z jaką roskoszą, po obfitej kolacji, wyciągnęliśmy się w łóżkach.

A jednak, pamiętam doskonale, świt zastał nas siedzących w budkach na cietrzewie, w oczekiwaniu toku...

II.

I zaczęło się życie, jak w bajce. Zniknęły gdzieś, rozwiane czarem przyrody i potęgą gorączki łowieckiej, powszednie troski i kłopoty, nie myśleliśmy zupełnie o tem, co czeka nas w niedalekiej przyszłości, żyliśmy chwilą radości, nie zastanawiając się nad tem, co z nami będzie, gdy chwila ta przeminie. Wielka i nieustająca radość wypełniała całe nasze jestestwa i nie pozwalała nam myśleć o niczem innem, jak tylko o tem, co teraz przeżywamy, a jeśli i przewinęła się czasami jakaś inna myśl, to natychmiast ginęła w powodzi radosnych uczuć bez śladu, i nic nie zdołałoby nas wtedy przekonać, że nie zawsze będzie tak dobrze, lekko i radośnie. I gdyby ktoś, uginający się pod ciężarem codziennych trosk i kłopotów, stanął wtedy przed nami i zaczął się ze swych trosk spowiadać, — patrzylibyśmy na niego, jak na warjata, bo nie bylibyśmy w stanie go zrozumieć. Bo jakież tu mogą być troski i kłopoty, kiedy słońce tak cudnie świeci, las szumi, a cały przestwór, aż do zawrotu głowy, wypełniony jest czarem wiosny? Chyba tylko jakieś sromotne pudło do łatwo ciągnącej słonki, lub niepewny zachód słońca, wróżący deszcz na rano i słaby tok cietrzewi—mogły być dla nas powodem do zmartwień. Poza tem nic!

Całe dnie spędzaliśmy na powietrzu z fuzją w ręku. Poczynając od świtu, który witaliśmy w budkach na toku, aż do późnego wieczoru, kiedy wtuleni w krzak czekaliśmy na ciąg słonek, cały dzień mieliśmy wypełniony: to wabieniem jarząbków w lesie, to szukaniem na rzece barwnych kaczorów, to czatami na żerujące rankami i wieczorami na pobliskich polach dzikie gęsi.

Powoli jednak to, zda się, nieustające podniecenie zaczęło w nas przygasać. Poczuliśmy coś w rodzaju przesytu i zmęczenia.

Na rozkładzie mieliśmy już około czterdziestu sztuk różnego ptactwa. Wisiały zgodnie w lodowni stalowo-czarne, o wygiętych kształtnie ogonach i nabrzmiałych krwią grzebieniach — cietrzewie, brunatno-szare o czarnem podgardlu jarząbki, rdzawe, długodziobe słonki, barwne masą kolorów kaczory-krzyżówki i kaczorki-cyranki, długonogie, różnej wielkości i upierzenia kulony i kuliki.

Do kompletu brakowało nam jeszcze tylko głuszca. Chęć zdobycia, lub przynajmniej zobaczenia zbliska tego królewskiego ptaka opanowała mnie całego. Nie było to jednak łatwem. Na pomoc mego przyjaciela, jak się wkrótce przekonałem, liczyć w tym wypadku nie mogłem, sam zaś, nie znając miejscowości i sposobu łowów, byłem zupełnie bezsilny. Pewnej nocy, na moje usilne nalegania, powlekliśmy się na jakieś, o kilka wiorst od domu oddalone, błoto, gdzie ongiś mój przyjaciel, naturalnie według jego opowiadań, bijał głuszce masami, lecz... widocznie wybił je już wszystkie, gdyż do białego ranka panowała tam niczem niezmącona cisza. Rozpacz moja była tem większa, że zbliżał się powoli termin powrotu, a i czas toków miał się już ku końcowi.

I możliwe, że powróciłbym do miasta nie zaznawszy czaru tych łowów, gdyby nie uprzejmość naszych gospodarzy, którzy, widząc moje zmartwienie, poradzili mi, abym udał się z tą sprawą do miejscowego myśliwego Iwana, który słynął za mistrza w tym kierunku i co wiosnę brał kilkanaście kogutów.

Nie bardzo dogadzało to mojej myśliwskiej ambicji, ponieważ jednak wyboru nie miałem, zaraz następnego dnia poszedłem do niego. Był to zwykły, niczem od tysięcy swoich współbraci nie różniący się chłop. Pochodził z mińszczyzny i dzięki temu znana mu była tajemnica wiosennego podchodu głuszców, gdyż miejscowi chłopi, jak się później przekonałem, o tego rodzaju polowaniu nie mieli najmniejszego pojęcia. Ze względu jednak na otaczającą go sławę myśliwską—patrzyłem na niego z ciekawością i swego rodzaju szacunkiem.

W kilku słowach załatwiłem z nim całą sprawę i umówiliśmy się, że dzisiejszej nocy idziemy.

Cały dzień przeżyłem w jakiemś niezwykłem podnieceniu. O niczem innem nie mogłem myśleć, jak tylko o tem, że za kilkanaście godzin mogą się spełnić moje najskrytsze marzenia. Chwilami pragnąłem, aby noc już zapadła, to znowu bałem się tej chwili, wiedząc z opowiadań, jak trudnem jest podejście głuszca, szczególnie dla nie posiadających w tem żadnego doświadczenia. Wiedziałem, że jakaś jedna drobna przyczyna może całe nasze starania obrócić w niwecz: mogę głuszca spłoszyć, mogę go na czas nie dojrzeć, mogę go wreszcie spudłować. Tego ostatniego obawiałem się najwięcej. O tem, że przecież głuszec może wogóle nie tokować nie myślałem jakoś wcale. Powoli redukowałem w myślach swoje wymagania, t. j. zamiast tego, aby głuszca zabić, o czem pierwotnie marzyłem, chciałem go już tylko zobaczyć, a nawet — usłyszeć. Niezliczoną ilość razy oglądałem i dopasowywałem kilka specjalnie przygotowanych ładunków grubego śrutu, wyczyściłem i naoliwiłem broń, cierpliwie znosząc przy tem docinki mego przyjaciela, który, nie bez pewnej zresztą słuszności, zauważył, że wyglądam tak, jakgdybym wybierał się nie na głuszca, ale conajmniej na tygrysa.

Dzień dłużył mi się nieskończenie. Z trudem doczekałem się zmroku i, aby zmienić trochę kierunek myśli, poszedłem na ciąg słonek. Niestety! dwa haniebne pudła, które przyjąłem za złą wróżbę, przygnębiły mnie tak, że już ostatecznie zwątpiłem w powodzenie mojej wyprawy.

Po powrocie, jeszcze raz przetarłem po ostatnich strzałach lufy strzelby, ułożyłem ładunki i przebrałem się, aby każdej chwili być gotowym do wyjścia. Około godziny jedenastej mój przyjaciel, który chciał zbadać jakiś daleki, ale podobno doskonały tok cietrzewi, ubrał się i wyszedł. Zostałem sam jeden. W całym domu panowała już głęboka cisza.

Nie gasząc lampy, położyłem się w ubraniu na łóżku, probując zasnąć. Moje nerwy powoli uspokajały się, zacząłem drzemać. Nagle zerwałem się na równe nogi. Straszna myśl przyszła mi do głowy: przecież Iwan może zaspać! Spojrzałem na zegarek, dochodziła pierwsza. Nie wiedziałem, co robić? To chciałem biec, aby go obudzić, to znowu bałem się, że w ciemnościach możemy się rozminąć... Wtem, o radości! usłyszałem pod oknami umówiony gwizd. Zgasiłem światło i w ciągu kilku chwil byłem już na dworze.

Owionął mnie chłód cichej, ciemnej, nasiąkłej wilgocią nocy...

III.

Poszliśmy zrazu drogą pomiędzy polami, aż do znanego mi już wąwozu i tu weszliśmy w las.

O ile na polu, pomimo panujących ciemności, mogłem jeszcze jako tako rozróżniać drogę, o tyle teraz, w lesie, szedłem zupełnie naoślep. Iwan jednak szedł pewnym i prędkim krokiem. Może przechodził już tą drogę niezliczoną ilość razy, może wiódł go instynkt stworzenia, dla którego las nawet w nocy nie ma już żadnych tajemnic, niespodzianek i przeszkód? Nie wiem.

Powoli, w tej przeogromnej ciszy, zacząłem zatracać poczucie miejsca i czasu. Machinalnie podnosiłem nogi, starając się tylko, aby memu przewodnikowi dotrzymać kroku. Chwilami miałem wrażenie, że to nie ja idę, lecz ktoś inny, zupełnie mi obcy i nie chciało mi się uprzytomniać sobie, w jaki sposób znalazłem się nagle na tej sennej, leśnej drodze, dokąd i poco idę? Nie wiedziałem, czy od chwili wyjścia z domu upłynęła godzina, dwie, czy może zaledwie kilka minut. Było mi tak dobrze iść tak bezwolnie wśród tego spokoju i czaru uśpionego lasu. Bez walki poddałem się tej ciszy i tajemniczości, jaka wszechwładnie panowała dokoła. W pewnej chwili nawinęła mi się myśl, że gdyby tak nagle Iwan, jak duch jaki leśny, rozwiał się w pomroce, poczułbym się wśród tych obszarów bezradny, jak małe dziecko. Było mi jednak zbyt dobrze i spokojnie, abym miał na tę myśl doświadczyć uczucia jakiegoś lęku.

Z tego odrętwienia budził mnie od czasu do czasu lekki ból: to gałąź, odchylona postacią Iwana i powracająca na swoje miejsce, uderzała mnie po twarzy, lub rękach. Szedłem wtedy przytomniej i ostrożniej, chroniąc oczy przed nowem uderzeniem.

Już kilkakrotnie, jak mi się zdawało, zmienialiśmy kierunek drogi, idąc różnemi, ledwie wyczuwalnemi ścieżkami, to zupełnie bez drogi lasem naprzełaj, gdy zauważyłem, że wysoki i dość suchy grunt zaczyna opadać niżej, stając się coraz bardziej mokrym i grząskim. Kilka razy woda chlupnęła mi pod nogami, które coraz częściej i głębiej zaczęły zapadać w miękki podkład. Po przejściu tych mokradeł, wyszliśmy na miejsce nieco suchsze, pokryte mchem i zrzadka rosnącą sośniną.

W powietrzu dawała się wyczuć jakaś ledwie dostrzegalna zmiana; zrobiło się ono bardziej chłodne i wilgotne. Miałem wrażenie, że po lesie zaczynają przebiegać jakieś tajemne drżenia, coś niby słaby poszum wiatru, coś, jak ciche westchnienie. Usłyszałem chrapanie ciągnącej w górze słonki. Zrozumiałem: świt nadchodził.

Jeszcze tu, na dole, panowały ciemności, ale w górze, pomiędzy wierzchołkami drzew, doświadczone oko mogło już dostrzec lekkie zmiany w kolorze nieba.

Iwan zaczął iść wolniej i ostrożniej. Od czasu do czasu przystawał, nasłuchiwał i znowu kocim krokiem posuwał się naprzód.

Tymczasem, zrzadka jeszcze, zaczęły odzywać się głosy ptaków. Jeszcze ostrożne i nieśmiałe, ale już coraz częstsze i głośniejsze. Las budził się z uśpienia.

Przyzwyczajone do ciemności oczy zaczęły rozróżniać ostrzejsze kontury drzew i krzaków. Szarzało.

Nagle, Iwan przygiął się gwałtownym rzutem ku ziemi, schwycił mnie silnie za rękę i, zwracając ku mnie swoją twarz, w której dostrzegłem w przelocie parę błyszczących oczu, szepnął:

— Hraje!

Wolno, jeszcze zwykłym, ale jakże cichym i ostrożnym krokiem posunęliśmy się dalej.

A więc głuszec gra! Ale gdzie? Jaka jest jego pieśń?

Wytężyłem słuch, pragnąc wśród tych różnych ptasich głosów, których coraz więcej rozbrzmiewało po lesie, odnaleźć tę czarowną pieśń. Napróżno! Kilka razy zatrzymywałem się na jakimś odrębnym, nieznanym mi głosie, lecz zawsze po pewnej chwili wyczuwałem, że to jeszcze nie „to".



Na kaczki. Fot. St. Bebenkowski.

Wtem, idący przede mną Iwan obejrzał się, machnął ręką i dał dwa duże, szybkie kroki naprzód, stając dalej, jak wryty. Baczny na każdy jego ruch, podążyłem podobnie za nim. Znowu krok — i znowu zamarcie w bezruchu.

I tak sunęliśmy naprzód tym dziwnym krokiem, jakgdyby zaczarowani jakąś niewidzialną mocą, która kazała nam bezwolnie podążać za sobą w las.

Aż z tego pogwaru lasu, z tej gęstwy drzew i krzaków, szarością świtu omglonych, przebił się znagła ku mnie jakiś dziwny dźwięk. Coś jakby klaskanie, zrazu rzadkie, potem coraz częstsze, aż przechodzące w stukotliwy trel, zakończony zduszonym, chrypliwym sykiem. Było to coś tak odrębnego, tak innego od wszystkich słyszanych przezemnie wogóle dźwięków i tonów, że w jednej chwili, jakgdybym znagła przewidział, wiedziałem nieomylnie, że to jest właśnie „to" — ta pieśń, o usłyszeniu której tak marzyłem. Jaka dziwna... Właściwie trudno nazwać ją pieśnią w tem znaczeniu, w jakiem słowo to powszechnie rozumiemy i używamy. Czemu jednak wywiera ona

tak silne wrażenie? Czy dlatego, że jest taka odrębna, pełna tajemniczej siły, jakgdyby była oddźwiękiem jakichś zamierzchłych, pogańskich czasów? Czy dlatego, że dźwięczy w tej szarej ciszy sennego jeszcze lasu? Czy dlatego, że jest ona wyrazem miłosnego wyznania śpiewaka, który tęskni i czeka na przyjście swej ukochanej?...

W pewnej chwili Iwan, z którym nie zawsze, pomimo całej mojej uwagi, mogłem rytm naszych podskoków uzgodnić, wyprzedził mnie o kilka kraków. Widząc to, zatrzymał się, a gdy w takt pieśni zbliżyłem się do niego, podniósł rękę, coś mi wskazując.

Spojrzałem — i zobaczyłem głuszca. Siedział na samym wierzchołku ogromnego świerka. Na tle dość już jasnego nieba widziałem go zupełnie wyraźnie. W chwili, gdy go zobaczyłem, siedział wyprostowany, baczny i czujny. Nagle wyciągnął szyję, rozpuścił skrzydła, ogon rozłożył wachlarzowato i wyrzucił z siebie kaskadę dźwięków. Skończył — znowu chwila czujnej uwagi i znowu pieśń. Przedzielała nas od niego zupełnie czysta polanka, szerokości sześćdziesięciu — siedemdziesięciu kroków.

I nie wiem, jak długo chłonąłbym w siebie ten obraz, gdyby nie Iwan, który trącił mnie w rękę, dając znak, aby iść dalej. Nie weszliśmy jednak przezornie na polankę, lecz skradaliśmy się jej brzegiem pod drzewami, obchodząc ją kołem. I oto jesteśmy już pod drzewem, na którem głuszec gra. Poprzez gęste gałęzie świerku dojrzeć go nie mogę. Pod pieśń odsuwamy się od pnia. Jeszcze jeden krok — i widzę go znowu, teraz już blisko, oddalonego tylko wysokością świerka.

— Strelajtie — słyszę za sobą cichy szept Iwana.

Małą chwilę zwlekam jeszcze ze strzałem.

— Strelajtie... Pozdno... Uletil!... — w głosie Iwana czuć przestrach, graniczący z rozpaczą.

Wolno podniosłem broń. Dziwna rzecz: byłem zupełnie spokojny i opanowany.

Moja szwedka spełniła swoje zadanie: ciężko raniony ptak rozłożył szeroko skrzydła, zakołysał się — i runął wdół. Jeszcze chciał powstać — i w tejże chwili trzepotał się, ściśnięty za szyję silną ręką Iwana, sypiąc gęsto pióra wokoło.

Czar prysł...

— — — — — — — — — — —

I chociaż, podczas mojego dalszego, nieprzewidzianego wtedy, pobytu w Rosji zabiłem prawie setkę kogutów, żaden nie dostarczył mi tylu niezapomnianych wrażeń, jak ten pierwszy, zdobyty wtedy, gdy o możliwości tego zupełnie już zwątpiłem.

JAN SŁUPSKI.



BEZDYMNY NABÓJ ŚRUTOWY W ŚWIETLE NAJNOWSZYCH PRÓB I DOŚWIADCZEŃ

(Dokończenie).

Zakręcenie łuski.

Dawniej, w czasach używania wyłącznie czarnego prochu — rola kartonika śrutowego i zakręcenia łuski ograniczała się prawie wyłącznie — do zapobieżenia wysypaniu się śrutu z łuski.

Przy użyciu prochu bezdymnego czynnik umiejętnego zakręcania łuski odgrywa jeszcze jedną, bardzo ważną rolę — mianowicie jest on regulatorem gwałtowności, z jaką eksplozja w komorze lufy ma nastąpić.

By to w sposób przystępny wyjaśnić, powołam się na znany w pirotechnice, względnie w minerstwie objaw, że każda mina tem gwałtowniej i silniej eksploduje, im silniej dany nabój zatkamy; gazy bowiem, nie mogąc znaleźć ujścia dla siebie, względnie natrafiając na opór ścian i nie mogąc się rozszerzać — powiększają nieproporjonalnie swoją prężność, i to w stosunku jak 3-cia potęga.

Biorąc ten objaw pod uwagę, przeprowadźmy szereg następujących prób:

Nabijmy łuskę tylko dawką czarnego prochu, przybijając ją jedynie zwykłą przybitką prochową — nie dając więc ani śrutu, ani nie zakręcając zupełnie wylotu. Gdy tę łuskę tak nabitą wystrzelimy — nastąpi pełny strzał, a proch spali się zupełnie (co jest naturalne, bo proch czarny jest — w porównaniu do jakiegolwiek prochu bezdymnego — łatwo zapalny).

Powtórzmy ten sam eksperyment z tą tylko różnicą, że zamiast prochu czarnego, nabijmy łuskę jakimkolwiek bezdymnym prochem śrutowym.

Rezultatem strzału takim nabojem będzie coś pośredniego między „niewypałem" a „niedopałem", t. j. gazy spłonki wyrzucą z lufy dawkę prochu wraz z przybitką, a w rzadkich wypadkach przy bardzo łatwo zapalnych prochach nastąpi właściwy „niedopał", przy którym tylko drobna część prochu tuż przy

spłonce ulegnie spaleniu, reszta zaś wraz z przybitką wyleci z lufy niespalona.

Jeśli jednak do tego samego, analogicznie zrobionego, naboju z bezdymnym prochem damy przepisaną ilość śrutu i przytkamy go kartonikiem, nie zakręcając jednak łuski (!) — to strzał będzie miał z reguły formę klasycznego „niedopału"; będzie go charakteryzował słaby huk, a śruty wylecą na kilkanaście metrów. Widzimy więc, że obciążenie naboju śrutem wywołuje już choć częściową eksplozję prochu.

Gdy jednak analogicznie zrobiony nabój ze śrutem zatkamy kartonikiem tak głęboko, że łuska będzie ponad kartonik 5 mm. wystawała, zakręcimy tak, że krawędź łuski zetknie się z kartonikiem, a cała długość zakręconego naboju zredukuje się do 60 mm (t. j. zwykłe zakręcenie w fabryce zrobionego naboju) i wystrzelimy — otrzymamy normalny strzał, dający dobre pokrycie i dobrą penetrację.

Widzimy więc, że tu opór, stawiony rozszerzeniu się gazów przez przybitkę prochową, wagę śrutu — wzmocniony przez opór, jaki stawia zakręcenie wylotu łuski, wywołuje pożądaną eksplozję, ani za słabą, ani za silną.

Gdybyśmy np. skutkiem użycia za niskiej przybitki otrzymali po nasypaniu dawki śrutu i po założeniu kartonika większą, niż 5 mm. wysokość wolnej łuski np. 10 mm. i ją znowu tak silnie zakręcili, że zawinięta część dotknęłaby kartonika — wzmocnilibyśmy niepotrzebnie (a dość silnie) opór, stawiany gazom.

Rezultatem tego byłby skok ciśnienia gazów o conajmniej 100 — 150 atm. Strzelec odczuwa przy takim strzale w pierwszej linji bardzo silny i niemiły odrzut, krycie tarczy odbiega od normalnego obrazu znaczeń, wykazując przedewszystkiem nierównomierność w rozmieszczeniu śrutów — czyli pod każdym względem gorszy strzał.

A więc nawet taka drobnostka napozór, jak stopień zakręcenia łuski, gra przy strzale śrutowym rolę.

Najnowsze badania w tym kierunku wykazały, że o ile mamy otrzymać strzał normalny, (t. j. zupełne spalenie się prochu w lufie przy normalnem ciśnieniu, t. j. 400 — 500 atm.), to zakręcenie musi stawiać pewien zależny od kalibru strzelby opór i tak:

kaliber 12 =	około	25 — 26 kg.
„ 16 =	„	21 — 22 „
„ 20 =	„	20 — 21 „

Ponieważ każda serja łusek przedstawia — co do sztywności papieru, z którego jest zrobiona, dalej spoistości użytego kleju, a w końcu odnośnie do grubości — pewne, choć drobne odchylenia, — skonstruowano specjalny przyrząd, którym się opór zakręcenia mierzy. Poddaje się z każdej serji kilka łusek odnośnym próbom. Gdy te wypadną zadowalająco — dopiero wówczas fabryka, dbająca o swoją renomę, używa danej serji do elaborowania nabojów.

Dla strzelców i myśliwych, zmuszonych do kilkakrotnego rekonstruowania wystrzelonych łusek i do własnoręcznego ich nabijania (a takich mamy dziś już tysiące) wynika z tego bardzo ważna wskazówka. Mianowicie w odróżnieniu od dawnego czarnego prochu, przy którego użyciu można było od biedy rekonstruować łuskę, aż do jej pęknięcia lub przepalenia — można przy użyciu prochów bezdymnych rekonstruować łuskę tylko tak długo, jak długo jej wylot jest dość sztywny i niewystrzępiony.

W przeciwnym razie wskutek braku należytego oporu ze strony zakręcenia — będzie strzał słaby, graniczący z „niedopałem", albo typowy „niedopał", o którego fatalnych następstwach mówiliśmy na wstępie.

Resume.

Powyższe zestawienie wykazuje, ile nowych, dotąd prawie nieznanych, czynników, które mają bardzo duży wpływ na dobry strzał, a nie mniejszy na zdrowie myśliwego i całość broni, przybyło przy użyciu bezdymnego prochu śrutowego.

Znajomość ich jest rzeczą bardzo ważną, a, niestety, myślę, że niebardzo odbiegnę od rzeczywistości — twierdząc, że może ledwie 5% myśliwych jest z niemi obznajmiona.



Niedźwiedzica z młodem. Fot. Wł. Korsak.

Daleki jestem od tego, bym imputował Sz. Czytelnikom własnoręczne elaborowanie nabojów — choćby dlatego, iż tą drogą w żaden sposób nie da się osiągnąć ta doskonałość i precyzja, z jaką pracują maszyny w fabryce i nie da się zaprzeczyć, że najlepszy jest nabój śrutowy bezdymny, gotowy — kupiony w jakiejś pierwszorzędnej firmie.

Ale, niestety, w obecnych czasach gospodarczego kryzysu, jest coraz więcej strzelców, których poprostu obecnie już nie stać na kupno gotowych nabojów; bardzo dużo myśliwych zmuszonych jest robić własnoręcznie potrzebny zasób amunicji; bardzo dużo myśliwych rekonstruje wystrzelone łuski, robiąc przez to dość poważne oszczędności.

Tym Kolegom w Św. Hubercie pozwolę sobie udzielić przyjacielskiej rady odważania nietylko prochu bezdymnego, lecz także i śrutu, by uniknąć przeładowania. Dawna miareczka bowiem i proch płatkowy — to są rzeczy, wzajemnie absolutnie się wyłączające.

Kto chce uniknąć tych, tak zdradzieckich „niedopałów", niech uważnie przeczyta i zapamięta uwagi na temat harmonji między spłonką i prochem, i wskazówki odnośnie do zakręcania łusek.

Treść artykułu mego da przedewszystkiem Sz. Czytelnikom możność fachowej oceny zakupionej amunicji, na którem to polu dzieją się dzisiaj duże nadużycia, obliczone na nieświadomość klijenta — nieraz nawet karygodne.

INŻ. WALERY MARYAŃSKI,
gen. bryg. w st. sp.

WOLNA TRYBUNA.

LIST OTWARTY DO GEN. STANISŁAWA SKRZYŃSKIEGO.

Wielce Szanowny Panie Generale, oraz Kochany Towarzyszu wielu wypraw łowieckich!

W pięknie i ciekawie pisanych „Fragmentach", zaatakowałeś lunetę, odsądziłeś od czci i wiary myśliwych, używających jej w naszych zwykłych warunkach, piękny rozkład głuszców nazwałeś „horendalnym".

Będąc myśliwym z zamiłowania do łowiectwa, a nie dla poklasku i uznania ogólnego, pozwalam sobie zupełnie bezstronnie zabrać głos w tej sprawie i chcę Ci zwrócić uwagę, Drogi Generale, że zbyt kategorycznie i bezapelacyjnie wygłaszasz swoje credo. Niech mi wolno będzie tutaj streścić moje zapatrywania, choć przez nie może stracę Twe uznanie, choć mnie potępią ci, co lunety nie uznają, uważam, że każdy myśliwy, któremu luneta „czystość" strzału ułatwia, powinien jej używać. Nie dlatego, by gonił za rekordem, lecz poprostu, — by dobrze zwierza trafił.

Znam i słyszałem o bardzo wielu dobrych myśliwych zarówno w kraju, jak i zagranicą, o tak ustalonej dobrej opinji, że najdłuższe i najzłośliwsze języki zachwiać nią nie potrafią, którzy stale używają lunety. Znam również takich, którzy, mając świetny i czysty wzrok, lunetę potępiają, nie dlatego, że łatwiej przez nią trafić, lecz dlatego, że pewniejsi są strzału przez otwarty wizjer, który nigdy przez potrącenie zepsuć się nie może. Znam takich, którzy przy otwartym wizjerze zastępują lunetę okularami. Wszyscy są dobrymi myśliwymi i wcale nie ogarnia mnie uczucie przygnębienia, gdy konstatuję fakt, że każdy z tych myśliwych używa metody, najwięcej mu dogadzającej, by się upewnić w celności swego strzału. Mylnie też Pan Generał twierdzi, że w Afryce sztucer z lunetą jest „jedyną" bronią, gdyż właśnie w Afryce prędzej, niż gdzieindziej, ze względu na czystość i przejrzystość powietrza, łatwiej jest strzelać przez otwarty wizjer, a zważywszy trudne warunki podróży, łatwo jest lunetę uszkodzić. Podchód w Afryce jest również nieraz łatwiejszy, niż u nas, by się o tem przekonać — wystarczy przeczytać odnośną literaturę.

Jeden z mych znajomych, który odbył kilka wspaniałych wypraw afrykańskich, uznał to i zamontował na sztucer lunetę, dopiero gdy zapolował (mając blisko lat 50) na kozice w Alpach, choć długo się ze mną sprzeczał, że i tam pewniejszy jest strzał z otwartego wizjera. Znam i takich, którzy i w tym wypadku nie dali się przekonać, lecz ci zwykle wracali bez trofeów.

Będąc myśliwym, jestem poza tem miłośnikiem broni myśliwskiej i śledzę uważnie za postępem rusznikarstwa, a przeciwnie do Twej opinji, Panie Generale, łączę te dwie rzeczy ściśle ze sobą. Gdybym tego nie czynił, wróciłbym do poleskiej kapiszonówki, która w ręku zawodowego kłusownika jest stokroć dla zwierzyny groźniejsza, niż moja büchsa z lunetą.

Mojem zdaniem, każdy człowiek, w którego żyłach tętni krew myśliwca, gdy zapadnie w knieję, w wysiłku upolowania zwierzyny, ma jasno wytknięty cel przed sobą.

Różnica między uprawianiem mordu i etycznem i racjonalnem polowaniem polega na zgóry zakreślonym planie odstrzału, a czy strzelamy z łuku, czy z armaty, niczem nie zmieni faktu, że zabijamy. Zgóry zastrzegam się, że mówię o polowaniu z bronią w ręku, a armaty niegdybym nie użył, ze względów czysto praktycznych.

Gdy jednak poluję, chcę wszelkiemi możliwemi sposobami daną zwierzynę upolować, wszelkie ułatwienia nowoczesnej techniki wykorzystuję, choć jednocześnie największe trudy i trudności od osiągnięcia celu mnie nie powstrzymują.

Póki mi sił starczy, będę szedł w pościgu za zwierzem, im większy będzie postęp rusznikarstwa, tem piękniejsze będą moje rozkłady i jakość trofeów, hołd należny oddam zabitej zwierzynie, nie będę się literacko rozczulał nad koniuszkiem posiniałego ozorka rogacza, na daleki dystans, przez lunetę strzelonego, odczuwając jednocześnie głęboko czar kniei. A gdy już siły nie będzie, pracując głową — oddam swe doświadczenie młodym, ku chwale i korzyści naszego łowiectwa — takie jest moje credo.

Zapytam Cię teraz, Kochany Generale, dlaczego nie nazwiesz horendalnym rozkładem fotografij paru głuszców, przy której następuje opis, jak to się nieraz w naszym „Łowcu" zdarza, mniejwięcej treści następującej: „Gajowi wieści z zapadów nam niosą pomyślne, na „Hradku" zasadzone dwa głuszce, na błocie jeden pewny i sławno hraje... wracamy z dwoma pięknemi okazami, które miękko osunęły się na puszysty kobierzec mchu, w gościnne progi Państwa XX, gdzie nas oczekuje stół, zastawiony litewskiemi smakołykami i t. p." Czy nie oburza Cię ten rozkład li tylko dlatego, że padło tylko dwa lub trzy głuszce, nie zważając na fakt, że więcej ich na tym toku nie było, czy może rozczula Cię gościnność gospodarza, który, nie będąc sam myśliwym, chce ostatnie swe głuszce oddać drogim gościom! Czy może ubicie tylko dwóch głuszców nie zasługuje na gromy Twego pióra. Może większe znajdzie się uznanie, gdy się zaatakuje większy rozkład np. 25 sztuk, ubitych przez jedną osobę.

Ale żeby ten atak w opinji myśliwych, znających się na racjonalnym odstrzale głuszców, mógł zachwiać opinję o myśliwym, który to uczynił, należy uzasadnić przedewszystkiem, dlaczego w mniemaniu autora ten odstrzał był nadmierny.

Znany austrjacki myśliwy, hr. Silva Tarouca, pisze w swej książce, że najracjonalniejszy odstrzał na toku jest 50% grających kogutów, i że dzięki stosowaniu tej metody doszedł do tak pięknego stanu na swych tokowiskach, że mógł sobie pozwolić na odstrzał 60 kogutów w jednym sezonie. Nie słyszałem,

by fakt ten zachwiał jego dobrą opinją myśliwego-hodowcy. Stać się to może dopiero teraz, gdy nasze „złośliwe języki" słowa te przeczytają.

Ja osobiście, gdybym fotografję owych rezultatów zobaczył, nie odsądzając „ogólnie szanowanego kolegi" od czci i wiary, i będąc daleki nawet od podejrzewania go o zanik „etyki i kultury łowieckiej", zwróciłbym się do niego z zapytaniem, jakiemi drogami udało mu się tak wspaniały rezultat osiągnąć. Mam również nadzieję, że taksamo piękne zdjęcie z rezultatu polskich łowów zostało należycie zrozumiane przez kulturalnych myśliwych zagranicą.

Jeżeli w danym rewirze jest przeznaczone, zgodnie z wymaganiami racjonalnej gospodarki łowieckiej 50 głuszców do odstrzału i takowe zostaną odstrzelone, chyba jasnem jest, że żadna zbrodnia z punktu widzenia etyki łowieckiej, ani żaden mord nie został popełniony. Obojętnem jest, czy strzelał jeden myśliwy czy kilku, obojętnem, czy strzelał kulą, czy śrutem, z lunetą, czy bez. Wchodzi tutaj w grę element osobistego upodobania i indywidualnej przyjemności. Jeden myśliwy woli czekać pięknej pogody i strzelać śrutem, delektować się każdym odstrzelonym okazem przed i po strzale, inny woli nie opuścić przez cały sezon ani jednego ranka, ni wieczoru, choćby w najfatalniejszą pogodę, co mu pozwala uzyskać ilościowo piękniejszy rozkład; jednemu sprawia wielkie zadowolenie, o ile wieczorem potrafi wybrać chytrze takie miejsce, by mógł strzelić z nalotu, jeden nie uznaje strzału do głuszca nie w pieśni, inny znów największej doznaje myśliwskiej rozkoszy, gdy zdoła podejść bez pieśni, co bezwątpienia jest najtrudniejsze. Jeden lubi sobie łowy utrudniać, inny znów ułatwiać. Sposób upolowania głuszca zależy od indywidualnego upodobania. Rezultat zawsze jednaki: głuszec zostaje upolowany. Mogę twierdzić, że ten, czy inny sposób upolowania głuszca nie sprawiałby mi żadnej przyjemności; mogę dziwić się, że sprawia on przyjemność koledze myśliwemu, lecz nigdy nie zajmę stanowiska Katona, potępiającego bezapelacyjnie inny sposób polowania, niż ten, który mi osobiście dogadza, o ile łowy te będą przeprowadzone w ramach zasad racjonalnej hodowli, a nie tępienia zwierzostanu, co może mieć miejsce nawet przy ilościowo nikłych rezultatach i przy akompanjamencie harmonijnych akordów pseudo łowieckiej etyki.

Ja ze swej strony, Drogi Generale, nie widzę wogóle wielkości „kunsztu" w strzelaniu do głuszca, ani z otwartego wizjera, ani przez lunetę. Kunszt polega na dojściu do strzału. Gdy strzela się bez lunety, należy dłużej oczekiwać pod głuszcem ze względu na światło, jest to kwestja cierpliwości, a nie sztuki strzeleckiej. „Kunsztownie" można strzelać w cyrku, a nie w łowisku, gdyż wówczas najlepszą opinją cieszyłby się myśliwy, strzelający rogacze — stojąc na głowie, a głuszce — z zawiązanemi oczyma, kierując się w strzale słuchem!

Osobiście porywają mnie najwięcej dwa, że tak powiem, okresy, w polowaniu na głuszce, podchód i chwila, gdy konstatuję, że ptak, kapitalnie trafiony, odrywa się od gałęzi, by jak kamień runąć na ziemię.

Pierwszy bez ostatniego satysfakcji mi nie daje, ostatni bez pierwszego satysfakcję zmniejsza do połowy, a dlatego używam i zawsze używać będę lunety, która mi w podchodzie nie przeszkadza, — że w strzale nawet śrutowym (śrutem również strzelam przez lunetę), ogromnie mi ułatwia „czystość", a przez to samo satysfakcję.

Tyle w obronie zbyt arbitralnie i bez zastanowienia zaatakowanej lunety, na której „połyskujące szkło" patrzy Pan Generał z odrazą i nienawiścią. Cóż winna swemu istnieniu luneta, że dostawszy się w ręce osobnika, w którego żyłach ani kropla krwi myśliwca nie płynie, ułatwi mu trafienie kilku głuszców, lub rogaczy, bez rozkoszy polowania. Żal mi panów, co wolą strzelnicę od polowania, ale skonstatować muszę, że i tacy istnieją, a konstatuję to bez „uczucia przygnębienia, beznadziejności i niewysłowionego żalu".

A teraz kilka słów w sprawie, która może mnie dotyczyć osobiście.

Na początku mego listu, „horendalny" w Twem mniemaniu rozkład głuszców nazwałem pięknym. Uczyniłem to właściwie na zgadywanego, gdyż Drogi Generał zupełnie nie motywuje, dlaczego rozkład, którego fotografję oglądał w obcokrajowem piśmie, tak go strasznie obruszył. Wnioskować jedynie mogę, że rozkład ten był z większej ilości głuszców, choć może horendalnego aspektu mu dodał „własny konterfekt" myśliwego, lub odbitka wyklętego przez Pana Generała sztucera z lunetą.

Ponieważ w paryskim „Chasse" znalazła się niegdyś moja fotografja, coprawda nie ze sztucerem, lecz z t. zw. „bock-buchs-flintą" (jedna lufa śrutowa ponad lufą kulową) z lunetą i z pięknym rozkładem głuszców, chcę Panu Generałowi wyjaśnić, że rozkład ten uzyskałem w rewirze, gdzie odbicie kilkudziesięciu nawet głuszców, jest odstrzałem zupełnie normalnym.

Pozatem zaznaczyć muszę, że poluje zawsze z zamiłowania do łowów, a nigdy dla zdobycia rekordów, które słusznie Pan Generał nazywa „chwilowym triumfem", okopconym nie tylko przez spalane przy tej grze świece.

Jednocześnie stwierdzam, że dopóki sił mi starczy, zawsze starać się będę o zaspokojenie swej żyłki myśliwskiej, polując w jak najlepszych, dostępnych dla mnie rewirach, i dokładając jaknajwiększych wysiłków, by rewiry i ostępy, któremi zarządzam, mogły mi dać ilościowo jak największe rozkłady, a jakościowo jak najpiękniejsze trofea.

Ponieważ przekonałem się osobiście, że w rewirach, w których odstrzał jest racjonalny, nawet gdy jest dokonany przy pomocy najnowocześniejszego sztucera z lunetą, zwierzostan się nie umniejsza, śmiem z całem przekonaniem zapewnić Pana Generała, że zupełnie niesłusznie oburzył się Pan Generał i przejął fotografją, czy sprawozdaniem z naszych łowów, które trafiły do zagranicznych pism, i jednocześnie pozwolę sobie załączyć wyrazy prawdziwego poważania oraz serdeczne „Darz Bór".

MAURYCY POTOCKI.

ZE STOWARZYSZEŃ ZWIĄZKOWYCH

POMORSKIE TOWARZYSTWO ŁOWIECKIE.

Pomorskie Towarzystwo Łowieckie (Toruń, ul. Sienkiewicza 10) przeprowadziło na Walnem Zebraniu w Grudziądzu, w dniu 31.V r. b. wybór nowego Zarządu w następującym składzie: prezes p. szambelan T. Komierowski, wiceprezesi pp. dr. Jan Łukowicz, F. Soboczyński, nadl. K. Szulisławski, skarbnik — dr. Marceli Łukowicz, sekretarz — p. nacz. M. Bernakiewicz, członkowie — p. K. Łyskowski i p. inż. L. Osowski. Do Komisji Rewizyjnej wybrano pp.: nacz. C. Jankiewicza, radcę J. Rzyskiego, insp. Trąmpczyńskiego.

Stwierdzić należy, że, pomimo nadzwyczaj trudnych warunków, Pomorskie Towarzystwo Łowieckie rozwija się pomyślnie i prowadzi żywą działalność.

Po załatwieniu różnych spraw bieżących i częściowej zmianie statutu, uchwalono: wezwać delegatów powiatowych do intensywniejszej pracy lub do złożenia swych funkcyj; przyciągnąć do współdziałania najszersze koła zainteresowanych, szczególnie leśników; urządzić pokaz i konkurs wyżłów jesienią r. b.; zwrócić się do Władz o wydatniejsze tępienie kłusownictwa i uniemożliwienie uprawiania nieuczciwego myślistwa; poprzeć wydawnictwo pracy o chorobach zwierzyny i t. d. Uchwalono zaapelować do wszystkich myśliwych Pomorza, by zapisali się do Towarzystwa i niewysoką opłatą 10—20 zł. rocznie, jakoteż i swoją współpracą przyczynili się do rozwoju łowiectwa i zwierzyny na Pomorzu.

KÓŁKO ŁOWIECKIE W ŻYRZYNIE.

W dniu 22 maja r. b., z okazji Walnego Zgromadzenia członków naszego Kółka, urządziliśmy wzorem roku ubiegłego II doroczne zawody myśliwskie, które zgromadziły na standzie 14 uczestników zarówno z pośród członków Kółka Łow. w Żyrzynie, jak i kółek sąsiednich, oraz myśliwych niestowarzyszonych.

Przy pięknej, aczkolwiek skwarnej pogodzie rozegrane zostały następujące konkurencje:

1) Strzelanie kulowe do tarczy ruchomej (kozła) na 100 metrów: I m. p. Wojciech Kołaczkowski — nagroda honorowa; II m. p. Wolf (Lub. Kl. Myśl.) — żeton srebrny; III m. p. Zygmunt Płużański (K. Ł. w Żyrzynie) — żeton bronzowy.

2) Pula otwarcia do rzutków. 10 rzutków na 15 metrów: I m. p. dr. Stefan Lewicki (K. Ł. Żyrzyn) — żeton złoty; II m. p. Wolf (Lub. Kl. Myśl.) — żeton srebrny; III m. p. inż. K. Komierowski (K. Ł. Żyrzyn) — żeton bronzowy.

3) Nagroda Główna Kółka. 25 rzutków, 15 metrów: I m. p. Wojciech Kołaczkowski — nagroda honorowa; II m. p. Przemysław Kleniewski — żeton srebrny; III m. p. Zygmunt Hejninger (K. Ł. Żyrzyn) — żeton bronzowy.

4) Pula pocieszenia. 10 rzutków na 10 metrów: I m. p. kapitan Ojrzyński (Kół. Praw. Myśl. Dęblin)— żeton bronzowy.

W roku ubiegłym zainicjowane przez nas pierwszy raz podobne zawody miały tylko 8 uczestników, z czego widać, że zainteresowanie do podobnych imprez wzrasta w naszej okolicy, co jest dla nas wystarczającą nagrodą za poniesione trudy.

Z LITERATURY ŁOWIECKIEJ

SPRAWOZDANIE Z DZIAŁALNOŚCI FUNDACJI „ZAKŁADY KÓRNICKIE" W ROKU GOSPODARCZYM 1930/31. Poznań 1932 r. Str. 40.

Ciekawa ta broszura o fundacji wspaniałomyślnego hrabiego i gorącego patrjoty zawiera między innemi dwa ustępy, interesujące świat łowiecki. Jeden mówi o łowiectwie w lasach kórnickich, drugi w lasach zakopiańskich. Dowiadujemy się z ciekawej statystyki, że w lasach kórnickich ubito w roku sprawozdawczym 3.614 sztuk zwierzyny. Łowiectwo jednak z powodu zniżki cen zwierzyny oraz wynagrodzeń za zniszczenie przez zwierzynę pól, sąsiadujących z lasem — przyniosło stratę w wysokości zł. 14.183 gr. 72.

W rozdziale o łowiectwie w lasach zakopiańskich czytamy, że stan zwierzyny jest zadowalający i wynosi 70 jeleni, około 300 sarn i 25 — 30 kozic. Zwierzyna dokarmiana jest maliniakiem, sianem i koniczyną. Służbę ochronną pełni czterech strażników łowieckich i leśnych. Sporadyczne wypadki kłusowników tępiono energicznie.

JÓZEF WŁ. KOBYLAŃSKI.

CZASY OCHRONNE

Rozporządzenie Wojewody śląskiego w porozumieniu ze Śląską Radą Wojewódzką z dnia 12 maja 1932 r. o zmianie czasów ochronnych, ustalonych obowiązującemi ustawami łowieckiemi dla poszczególnych gatunków zwierzyny łownej.

§ 1. Na podstawie art. 2 ustawy z dnia 12 grudnia 1923 r. (Dz. U. Śl. Nr. 43 poz. 212) ustalam w porozumieniu ze Śląską Radą Wojewódzką czasy ochronne dla niektórych gatunków zwierzyny łownej na przeciąg jednego roku, a mianowicie:

1. dla jeleni i danieli (byków) od 1.XI—15.IX.
2. dla łań i cieląt jeleni i danieli — cały rok.
3. dla rogaczy (kozłów, sarniuków) i nieprawidłowych widłaków i spiczaków od 1.XI—31.V.
4. dla sarn (kóz, siut), koźląt, spiczaków i widłaków — cały rok.
5. dla zajęcy od 15.I—15.X.
6. dla borsuków od 1.XII—31X.
7. dla głuszców — cały rok.
8. dla samic cietrzewi i bażantów — cały rok.
9. dla kogutów cietrzewi od 1.VI—15.VIII.
10. dla kogutów bażantów od 1.II—15.X.
11. dla jarząbków — cały rok.
12. dla kuropatw od 1.XII—31.VIII.
13. dla kaczek od 1.XII — 15.VII.

§ 2. Rozporządzenie niniejsze wchodzi w życie z dniem 3-go czerwca 1932 r. i obowiązuje do dnia 2-go czerwca 1933 r.

Wojewoda Śląski,
(—) DR GRAŻYŃSKI



Z KOMITETU BUDOWY DOMU ŁOWIECKIEGO.

W związku z koniecznością zamknięcia rachunków za rok 1931, pozwalamy sobie prosić PP. Delegatów Powiatowych, Prezesów Stowarzyszeń Związkowych i wszystkich PP. Myśliwych, którzy posiadają książeczki z kwitami do zbierania ofiar na rzecz FUNDUSZU BUDOWY DOMU ŁOWIECKIEGO, — o łaskawe przekazanie wszelkich zebranych na cel powyższy kwot.

Książeczki prosimy zatrzymać w celu dalszego zbierania ofiar.

Pieniądze prosimy przekazać na konto Funduszu Budowy Domu Łowieckiego, P. K. O. Nr. 22939.

KALENDARZYK MYŚLIWSKI

W lipcu polować wolno: przez cały miesiąc—na sarny - kozły oraz na zwierzęta, wymienione w art. 50 prawa łowieckiego, na które polowanie dozwolone jest przez cały rok, a mianowicie na wilki, dziki, wydry, kuny domowe (kamionki), tchórze, gronostaje, łasice, króliki, jastrzębie-gołębiarze, krogulce, sroki i wrony;

od 11-ego lipca — na bataljony;

od 16-ego lipca — na dzikie kaczory, dzikie kaczki (samice i młode) oraz na inne ptactwo wodne i błotne.

Na wszelką inną zwierzynę w lipcu trwa nadal czas ochronny.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE.

WOŁYŃSKIE ZAWODY STRZELECKIE W RÓWNEM.

W dniach 21, 22 i 23 maja r. b. odbyły się w Równem pierwsze — na szeroką skalę zakrojone — zawody strzeleckie. Protektorat nad niemi objęli: wojewoda wołyński p. Józefski, dowódca O. K. II gen. Dobrodzicki i komendant garnizonu Równe gen. Knoll. Organizacja zawodów spoczywała w rękach dowódcy piechoty dywizyjnej 13 d. p. — pułk. dypl. Regulskiego, dowódcy 45 p. p. strz. kres. — pułk. dypl. Prugar-Ketlinga i mjra Kaczmarczyka, d-cy II baonu 45 p. p. strz. kres.

Frekwencja, jak na obecne stosunki i na zaniedbany w dziedzinie strzelnictwa Wołyń, była imponująca. Wyniki zwłaszcza w niektórych konkurencjach były bardzo dobre; organizacja zawodów — bez zarzutu.

Zawodników ponad 160 (w tem 20 pań), wszystkie cztery strzelnice wojskowe, pomimo swego odświętnego wyglądu, pracowały od wczesnych godzin porannych do późnego wieczoru. Sędziowie i tarczowi składali się wyłącznie z oficerów i podoficerów, co w rezultacie dawało gwarancję skrupulatnego i pewnego obliczania wyników.

Zawody rozpoczęły się tradycyjnem oddaniem strzałów honorowych przez komendanta garnizonu gen. Knolla i przedstawicieli władz. Mimo pozornego spokoju i opanowania, unosiła się w czasie zawodów nad strzelnicami atmosfera naprężenia, którą potęgowały jeszcze dzwonki telefoniczne, głosząc co jakiś czas nazwiska nowych zwycięzców.

W ostatecznym wyniku rezultaty zawodów myśliwskich przedstawiały się następująco:

w strzelaniu z broni myśliwskiej do rzutków zdobył pierwsze miejsce p. Stanisław Torka, osiągając na 20 pkt. możliwych — 19 pkt.;

w strzelaniu do zająca w biegu na 50 mtr. zdobył pierwsze miejsce płk. dypl. Prugar-Ketling z W. K. S. Równe, osiągając 9 pkt.;

w strzelaniu kulowem do dzika w ruchu na 50 mtr. zdobył pierwsze miejsce płk. dypl. Prugar-Ketling z W. K. S. Równe, osiągając 14 pkt.;

w strzelaniu kulowem do jelenia w biegu na 100 mtr. zdobył pierwsze miejsce kpt. Franciszek Żebrowski z W. K. S. Równe, osiągając 15 pkt.

Uroczystego wręczenia nagród dokonał gen. Knoll dnia 22 maja b. r. wieczorem, poczem w salach kasyna oficerskiego 45 p. p. strz. kres. zorganizowany został „dancing-bridge" dla uczestników zawodów.

ŻUBRY W PUSZCZY BIAŁOWIESKIEJ.

Dyrekcja zarządu lasów państwowych w Białowieży zwiększyła obszar rezerwatu żubrzego w Białowieży o 30 hektarów, doprowadzając go do 50 hektarów.

W rezerwacie żubrzym oczekiwane są 3 sztuki przychówku, co jest już radosnem wydarzeniem po wojnie bowiem na ziemiach polskich przyszło na świat tylko 7 żubrów.

Ogółem, wraz ze spodziewanym przychówkiem, w Polsce będziemy mieli 22 żubry. *—m.—*



Na Zielonej Górze. Fot. Teodor Kluka.

SPADEK PRZEKROCZEŃ USTAWY ŁOWIECKIEJ.

W 1931 roku wykryto około 11.000 przekroczeń ustawy łowieckiej, co w porównaniu z 1930 rokiem wykazuje spadek przekroczeń o 15%. Średnia wysokość kar, stosowanych przez starostwa, wynosiła około 25% maksymalnych kar ustawowych (kary te za drobne przekroczenia sięgają do 50 zł., za większe — do 500 zł.). *—jk.—*

OFICERSKA SEKCJA ŁOWIECKA PRZY BATALJONIE K. O. P. „SNÓW".

Miasteczko Snów w powiecie nieświeskim posiada Oficerską i Podoficerską Sekcję Łowiecką, obie oparte na zatwierdzonych statutach.

Sekcja Podoficerska liczy 9-ciu członków, Oficerska zaś 10-ciu, w tem trzy osoby cywilne.

Obszar Oficerskiej Sekcji Łowieckiej obejmuje 5 obwodów łowieckich o łącznej powierzchni 6000 ha, Podoficerskiej zaś Sekcji Łowieckiej około 3000 ha. Opłata za tereny łowieckie wynosi około 10 groszy za ha.

Składka miesięczna dla oficerów — 5 zł., wpisowe 10 zł., dla podoficerów 3 zł. i 5 zł.

Zwierzostan słaby; są tylko zające, cietrzewie i kaczki. Lisów b. dużo, lecz nie spotkano żadnego na polowaniach. Również dużo wilków.

Na wszystkich polowaniach w r. 1931 ubito: 6 cietrzewi, 39 kaczek, 8 kaczorów na wabika z krekuchą, 5 jastrzębi, sowę, 3 żórawie, dziką gęś, 2 czaple, 45 zajęcy i 11 wałęsających się psów. Jedna z ubitych czapli posiadała obrączkę na nodze z napisem „Rossitten 1930". Obrączkę odesłano do Stacji Doświadczalnej przy Zakładzie Zoologicznym w Poznaniu, skąd nadeszła odpowiedź, że czaplę obrączkowano w miejscowości Poniewież na Litwie.

Największa ilość kaczek, gęsi i żórawi przebywa w obwodzie łowieckim „Kroszyn" obok rzeki Szczary. Polowanie tu jednak jest bardzo utrudnione z powodu niedostępnych bagien.

Kłusownictwa ze strzelbą niema — natomiast uprawiane jest wnykarstwo.

JÓZEF WŁ. KOBYLAŃSKI.

FUTRA.

Notowania hurtowe futer loco Bydgoszcz za 1 sztukę w złotych: lisy 18 do 23, kuny 60 do 70, tchórze 10 do 12, sarny letnie 0,60 do 0,80, sarny zimowe 0,50.

KOMITET REDAKCYJNY: J. Błeszyński, K. Czampe, J. Dylewski, W. Garczyński, B. Gędziorowski, J. Gieysztor, Wł. Gieysztor, I. Grymiński, Wł. Janta-Połczyński, St. Kamocki, W. Kiltynowicz, H. Knothe, Wł. Korsak, E. hr. Krasiński, St. Krzywoszewski, E. Niezabitowski, M. hr. Potocki, A. hr. Rzewuski, Wł. Słonczyński, W. Szperling, K. Świderski, B. Świętorzecki, Fr. Unrung, Wł. Zabiełło i St. Zaborowski.

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. **Wydawca:** Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 9; za pół roku zł. 17; za rok zł. 32. — Miesięcznie 3.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery — po 20 gr.; najmniejsze ogł. — 2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.

W numerach ozdobnych: Za tekstem 1 milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; 1/2 — 225 zł.; 1/4 — 115 zł.; 1/8 — 60 zł. Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

KONTO P. K. O. „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich" 8082. ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 607-98.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 4-ą i 5-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Książki myśliwskie.

Następujące dzieła są do nabycia w redakcji z ustępstwem 15% dla prenumeratorów „Łowca P.":

„W polu i w lesie" Wł. Gürtlera — 1,00 zł. bez rabatu.

Głuszec, monografja B. Świętorzeckiego z rysunkami Włodzimierza Korsaka — Cena 2,00 zł.

Nasze skrzydlate drapieżniki: Gołębiarz, krogulec, sokół wędrowny. Monografja myśliwsko-przyrodnicza Władysława Gürtlera — 2,30 zł.

Wilk, monografja Bolesława Świętorzeckiego — 3,00.

Cietrzew, monografja Włodzimierza Korsaka. Praca odznaczona I nagrodą na konkursie literackim, z przedmową red. Juljana Ejsmonda — 2,50 zł.

Jak unikać wypadków z bronią? — Jana Sztolcmana. — 25 gr.

Podręcznik do zbierania i konserwowania zwierząt — d-ra Władysława Polińskiego
zesz. 1 — 1.40 zł.; zesz. 2 — 2.50 zł.; zesz. 3 — 1,20 zł.; zesz. 4 — 50 gr.; zesz. 5 — 1,00 zł.; zesz. 6 — 2,00 zł.; zesz. 7 — 2,00 zł.

Jana Sztolcmana: 1) „Żubr" — 3,30 zł. 2) „Nad Nilem Niebieskim" — 6,00 zł.

Ze strzelbą na ramieniu — A. hr. Rzewuskiego — 8 zł.

W stepach i puszczach — Władysława Czerniejewskiego — 1.00 zł.

Wł. Janty Połczyńskiego: 1) „Św. Eustachy"—3,00 zł. 2) „Polująca Pani"—3,50 zł. 3) „Estetyka Łowiectwa" — 2,00 zł.

Obrazki Łowieckie — E. hr. Krasińskiego — 3 zł.

„O świcie" — Aleksandra Janty Połczyńskiego — 4 zł.

Kazimierza hr. Wodzickiego „Skowronek" — 3.60 zł. „Kruk" — 4.50 zł. „Słonka" — 4 zł.

J. W. Kobylański. „O zwierzyńcu w Katowicach" 3 zł., „Jak powstał w Odrodzonej Polsce pierwszy zwierzyniec w Warszawie" 3 zł., „O zwierzyńcu w Malinowszczyźnie" 1 zł., „O dawnym i obecnym zwierzyńcu w Krakowie" 1,50, „O zwierzyńcu w Częstochowie, Grodnie, Katowicach, Krakowie i Lesznie" 1 zł., „Humor i łacina myśliwska" 1,50.

Za zaliczeniem najmniejsza dopłata — 1.40 zł.

Za przesyłkę poleconą (przy wpłacie zgóry) — dolicza się 90 groszy.

JAN SZTOLCMAN

JAK UNIKAĆ WYPADKÓW Z BRONIĄ?

NAKŁADEM CENTRALNEGO ZWIĄZKU POLSKICH STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH. BROSZURA NIEZBĘDNA NIETYLKO DLA MYŚLIWYCH, ALE TAKŻE DLA WSZYSTKICH POSIADACZY BRONI.

DO NABYCIA
W SKŁADACH BRONI
i REDAKCJI „ŁOWCA POLSKIEGO"
CENA 25 GROSZY.

ZIEMIA

Krzewi umiłowanie ziemi ojczystej.
Omawia metody i drogi pracy krajoznawczej.
Podaje opisy krajobrazów, bogactw naturalnych, miast, miasteczek, wsi.
Informuje o pracach, mających na celu poznanie kraju.
Propaguje ochronę przyrody i zabytków.
Zamieszcza wskazówki turystyczne.
Prowadzi stałą kronikę krajoznawczą, turystyczną, konserwatorską i muzealną.
Rozpatruje literaturę krajoznawczą i turystyczną.
Ilustruje licznemi zdjęciami fotograficznemi wszystkie artykuły.

20-ty rok istnienia pisma świadczy o jego potrzebie.

Prenumerata wynosi: kwartalnie zł. 7.50, rocznie zł. 29.—

WARSZAWA, KAROWA 31. TELEFON 642-50.
KONTO P. K. O. 2222.



SKŁAD BRONI „J. SOSNOWSKI"

Warszawa, Ossolińskich 1. Tel. 647-47. Adres telegr. SOSLIS.

Wyłączne przedstawicielstwa oraz sprzedaż wszechświatowej sławy strzelb myśliwskich:

G. DEFOURNY SEVRIN, Liège	VERNEY CARRON et Cie, Paris
A. FORGERON "	
A. FRANCOTTE "	VICKERS Ltd., London
LEPAGE "	J. NOWOTNY, Praha

SZTUCERY i TRÓJLUFKI,
wykonane z zastosowaniem ostatnich wymagań techniki.

Warsztaty reperacyjne. Oferty i cenniki bezpłatne. Ceny i warunki najprzystępniejsze.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.